

Warszawa, 1976

Późny wieczór nie przyniósł większej ulgi po panującym cały dzień upale. Nagrzane budynki i asfalt ulic rozjechany tysiącami kół w ciągu dnia oddawały teraz nagromadzone ciepło. Wysoka kobieta w czapeczce z daszkiem i mężczyzna w marynarce w jodełkę z łatami na łokciach oraz drucianych okularach wyszli ostrożnie z bocznych drzwi wielkiego budynku. Na ich widok człowiek stojący przy aucie zaparkowanym nieopodal przydepnął niedopałka:

- Dobry wieczór, witamy w Warszawie!

Ku zaskoczeniu Barbary wziął od niej sportową torbę i szarmancko ucałował w rękę.

- Mariusz Grabowski, bardzo mi miło. Proszę wsiadać- podał rękę Paulowi, który poklepał go po ramieniu.

- *All right, Mari?*

Barbara spojrzała na biało- czerwonego vana. Trochę zdziwił ją staroświecki wygląd, ale chcąc przypodobać się temu miłemu człowiekowi odczytała napis na pokrywie chłodnicy : „ Ni-ssa...”

- Nissan, japoński?

- Ale... Nyska 501, polsko-amerykańska konstrukcja, eh, eh!-

zaśmiał się Mari w charakterystyczny dla siebie sposób. Był to mężczyzna około dwudziestu pięciu lat, z rudym wąsem i jasnymi włosami zaczesanymi tak, by zamaskować duże zakola. Ubrany w hawajską koszulę z krótkimi rękawami i szorty. Na nogach miał sandały i białe, frotowe skarpety.

Otworzył drzwi auta. Wnętrze nijak nie pasowało do jego sierniężnego wyglądu: dwa rzędy lotniczych, welurowych foteli, granatowa tapicerka i gruba wykładzina pod nogami w tym samym kolorze. Kokpit z kilkoma różnymi zegarami podświetlony na czerwono i niewielkie, grube koło kierownicy dopełniały całości. Szybko rozgościli się we wnętrzu i ruszyli.

Różnokolorowe neony niemo wykrzykujące swoje racje wkrótce ustąpiły coraz skromniej oświetlonym ulicom aż w końcu za oknami zapanowała absolutna ciemność. Jeszcze przez chwilę Barbara wsłuchiwała się w nocną audycję płynącą z radia „Safari”, aż w końcu odchyliła oparcie fotela i przykrywszy się grubym kocem zasnęła.

Plutonowy Zdebel nie miał szczęścia tej nocy: odkąd przyczaili się swoją służbową warszawą w krzakach za wsią, ruch jakby ustał. Fakt, że o czwartej rano w poniedziałek trudno było upolować kogokolwiek, ale przecież nie chciał wiele: sierżant Grzyb, śpiący smacznie w aucie kazał mu wypracować na litra, czyli flaszkę na głowę. Kilka lewych mandatów albo jeden większy od jakiegoś nadzianego frajera i po kłopotcie. A kłopot polegał na wielkim kacu, który trawił sierżanta po wczorajszym świniobicciu u szwagra Cieszuna z Męcikału.

Ekran starannie ukrytego radaru stojącego na trzech chybotliwych nóżkach wskazywał trzy zera.

„Tyle, ile stan konta na flaszkę” - przyszło do głowy plutonowemu i to jeszcze bardziej go zafrasowało. Od godziny nic, jakby ten pijany chłopek na rowerze, któremu Zdebel kazał wykręcić wentylki z kół i poczęstował sążnistym kopniakiem w tyłek na pożegnanie rzucił jakiś urok...

Kilka aut, które nadjechały od strony Krakowa nie przekroczyły czterdziestki, więc nawet nie było sensu wystawiać lizaka.

Plutonowy nie mógł bowiem wiedzieć, że rowerzysta poprzysiągł mu zemstę, do której wykonania przystąpił tuż za zakrętem: ulokowawszy się na poboczu drogi pod jedyną działającą we wsi latarnią wykonywał pajacyki machając rękami i podskakując. Kiedy nadjeżdżające auto zwalniało, zaniepokojone tak niezwykłym widokiem, rolnik rysował rękami duże koło mające symbolizować radar po czym przystawiał dwa palce pod nos a drugą rękę wyrzucał w hitlerowskim pozdrowieniu, które widział na filmie o przygodach Hansa Klossa. W ten sposób wyrażał mową ciała niesprawiedliwość, do której posunęła się władza ludowa wymierzając mu karę cielesną. Od dobrej godziny nie było takiego mocnego, który by zignorował tę pantomimę.

Plutonowy Zdebel oderwał się od obserwacji drogi i podszedł do służbowej warszawy, w celu pozyskania papierosa sport, których paczkę zostawił w aucie. Otworzył drzwi, ale jeszcze szybciej je zamknął: smród, jaki buchnął z wnętrza zabiłby tura.

Wróciwszy na pobocze wpadł na szatański pomysł: odwrócił radar w drugą stronę. Ten prosty manewr okazał się wkrótce zbawienny w skutkach. Oto od strony wsi zobaczył światła: nie tylko ktoś jechał na długich w obszarze zabudowanym, ale miał włączone także halogeny, o zgrozo, koloru żółtego! Spojrzał na radar i okrzyk zdumienia wyrwał mu się z ust:

- O kurwa... !- cyferki przeskakiwały szybko: sześćdziesiąt... osiemdziesiąt... sto dwadzieścia... sto czterdzieści...

Nie czekając dłużej wyciągnął lizak, latarkę z czerwoną folią i wyskoczył na jezdnie, potykając się przy okazji o jakiś kamień.

- Kurwa... No mam cię!

Czerwone cyferki na radarze zaczęły nagle zjeżdżać ostro w dół.

„Dwie flachy jak byk!”- triumfujący uśmiech zagościł na ustach plutonowego Zdebla, kiedy wprawnym ruchem pokazał lizakiem, gdzie kierowca ma zatrzymać się na poboczu szosy. Stał jednak zdumiony widząc, jak z porannej mgły wyłania się nyska starego typu.

Łyk kawy z termosu smakował jak ambrozja. Mari spojrzał w lusterko, czy nie zaproponować kubka swoim pasażerom, ale spali w najlepsze w lotniczych fotelach omotani grubymi kocami. Uśmiechnął się do siebie. Zawsze dbał o służbowy wóz, a ten był jego oczkiem w głowie.

Richard, znaczy pan ambasador, powiedział, że nie chce nic wiedzieć o matactwach związanych z planami jego kierowcy... Ale i tak wciąż dopytywał się, jak przebiegają prace... Ten rozbity i porzucony przez poprzedniego ambasadora mustang przykryty plandeką na tyłach budynku nie mógł przecież tak zakończyć swojego życia nad Wisłą... eh, eh, eh... - Mari uśmiechnął się na to wspomnienie.

Zwolnił w jakiejś uśpionej wiosce, ale prosta i pusta o tej porze droga zachęcała do przyciśnięcia pedału gazu, co też uczynił. Wskazówki obrotomierza i szybkościomierza skoczyły równocześnie i przyjemne uczucie przyspieszenia wcisnęło go łagodnie w fotel, kiedy zobaczył wychodzącą na drogę postać w białej czapce.

- Lody, lody... co on tu robi o tej porze, do kurwy mańki?- zadał sobie pytanie z dziedziny pytań retorycznych, zdejmując nogę z gazu i włączając prawy kierunkowskaz. Zatrzymał się dokładnie w miejscu wskazanym przez milicjanta, który podchodził właśnie do auta bawiąc się lizakiem.

- Co to, kurwa, Les Mans czy Męcikał?! Ile to jeździmy, obywatelu?!

- milicjant z wielkim zainteresowaniem taksował starą, choć dobrze utrzymaną nyskę. Nie było wątpliwości, że jej kierowca beknie za niesprawny tłumik, szerokie opony i jakiś taki inny wygląd auta.

- Co to, kurwa, samoróbka?!- plutonowy Zdebel robił podkład psychologiczny pod wysoki mandat.

- Dokumenty!- zażądał ostatecznie.

Kierowca wręczył mu prawo jazdy i dowód rejestracyjny, ale plutonowy Zdebel postanowił drażnić psychologicznie temat, aby zyskać jak najwięcej. Nie było wątpliwości: jakiś badylarz jechał do Krakowa z ziemniakami na targ swoją przerobioną, starą nyską. Kilka stówek wpadnie jak nic!- ucieszył się.

- No?!- następował moment, w którym każdy kierowca łagodnieje i zaczyna pertraktację. Ale nie ten. Patrzył na plutonowego jakby z politowaniem.

- Pytam, co dalej?! Nie?

- A co ma być?- zapytał z głupawą miną wyraźnie znudzony kierowca.

Najgorsze, że plutonowy Zdebel nie miał pewności co do wskazań radaru, bo przecież stara nyska nie mogła pędzić z taką szybkością. Postanowił zadziałać psychologicznie.

- No ile to się jedzie w obszarze zabudowanym? A wy ile jechaliście?! Pytam! Zresztą, stan techniczny pojazdu wskazuje na to, że zatrzymuję wam dowód rejestracyjny. Teraz zapierdalajcie dalej z kaptura.

- Gdzie tu jest najbliższy telefon?- zainteresował się nagle kierowca.

- A co, chcecie zadzwonić do szwagra?!

Tymczasem stężenie amoniaku we wnętrzu warszawy przekroczyło wszelkie normy bezpieczeństwa. Sierżant Grzyb otworzył zaropiałe oczy i chwilę wsłuchiwał się w dialog prowadzony gdzieś na drodze. Ból rozsadzał mu głowę, ale nie to było najgorsze: mocz napierający z ciśnieniem co najmniej dwóch atmosfer na wyjściu groził śmiercią lub trwałym kalectwem. Chwilę zbierał się w sobie aż wreszcie otworzył drzwi i wytoczył się z trudem na zewnątrz. Wciągnął potężną dawkę świeżego powietrza w płuca, rozpiął guziki i chwilę mieszał w rozporku. Uwolnione przy okazji tej akcji gazy oznajmiły radosnym i przeciągłym trąbnięciem opuszczenie organizmu sierżanta Grzyba Teofila. Na ten sygnał plutonowy podniósł głowę.

„Nareszcie, niech się sam z tym rozprawi”- pomyślał, widząc sierżanta podchodzącego do auta.

- Co jest?- wymamrotał sierżant Grzyb.

- Beknie jak nic na kolegium, obywatelu sierżancie! – Zdebel ucieszył się widokiem przełożonego, bo co dwie głowy to nie jedna.

- Przekroczenie szybkości, poruszanie się po drodze publicznej bez uprawnień... – sierżant spojrział na wypieszczoną nyskę i podszedł do kierowcy.

- Na co czekasz?! Z ilu stówek wyskakujesz?- wymamrotał, zapinając rozporek.

Ale o dziwo kierowca otworzył notes i zapytał bezczelnie:

- Panów nazwiska, stopnie i numery służbowe...

Milicjanci spojrzeli po sobie zdumieni:

- Po chuj?

- Po chuj to można stać w wodzie, a wasze dane dla pana ambasadora Stanów Zjednoczonych, którego samochód na widocznych z daleka numerach korpusu dyplomatycznego przetrzymujecie bezprawnie od dziesięciu minut, co może spowodować, że spóźni się na lotnisko w Balicach, skąd odlatuje jego samolot do Helsinek na szczyt międzynarodowy poświęcony rozbrojeniu. Rozumiecie sami, że nota protestacyjna wywoła skandal nie tylko w polskim MSZ-cie, ale na szczycie... - W tym momencie otworzyły się boczne drzwi i wyszedł szczupły mężczyzna około czterdziestki, w srebrnych oprawkach i tweedowej marynarce.

- *What's up here?*- zainteresował się i pokazał na zegarek.- *It's really late!*-

Sierżant Grzyb, którego pękająca po wczorajszym bimbrze czaszka miała się zupełnie nijak do sytuacji, w jakiej znalazł się nagle jako przełożony i dowódca patrolu, wyrwał dokumenty plutonowemu, wręczył kierowcy i salutując temu chudemu wyrecytował to, co z wielu znanych języków świata przyszło mu akurat do głowy:

- *Zdrastwujcie... towarzyszcz!*

Auto zagrało niskim, basowym dźwiękiem i fontanna żużlu z pobocza wyrwana spod kół ruszającego pojazdu obsypała obficie zdumionych milicjantów.

Jak na jakim amerykańskim filmie...